

# KLUB MEDYKÓW – MIEJSCE PIĘKNYCH WSPOMNIEŃ

**Marcin Rawicz** – rocznik 1971

**P**ierwszy mój kontakt z Klubem Medyków był raczej niefortunny. Zaszedłem tam od razu po rozpoczęciu studiów w 1965 r., żeby zapisać się do ZSP (Zrzeszenia Studentów Polskich), wówczas najpoważniejszej organizacji studenckiej. Niestety, wizyta szybko się skończyła pokazaniem mi drzwi i rzuconą uwagą „synku, zabłądziłeś?”. Nic w sumie dziwnego, miałem dopiero 17 lat, wyglądałem na 14, do tego okularki... Choć nie miałem inklinacji do udzielania się w propagandzie, rozczarowany wyrzuceniem za drzwi, wstąpiłem do urzędującego po sąsiedzku Związku Młodzieży Socjalistycznej (ZMS-u), który wówczas zresztą na Akademii niewiele robił i w sumie niewiele mógł.

Za to ZSP oszałamiało aktywnością – sekcje, imprezy, barwne plakaty, muzyka... Aż żal było z tego nie korzystać, ale reżim pierwszego roku nie zostawiał nam wiele czasu. Sama anatomia pochłaniała z reguły pół nocy, prosektorium było codziennie, a zadawano sporo. Nie było wprawdzie szpilek, wykłady prowadził wielki prof. Witold Sylwanowicz, asystentem mojej grupy był doktor, późniejszy prof. Ryszard Aleksandrowicz – a wymagał sporo. Oprócz podstawowej pracy w Katedrze Anatomii Prawidłowej był czynnym i znakomitym chirurgiem,

co nie przeszkadzało mu w zaglądaniu do Medyka.

Z życiem klubu na ulicy Oczki 1A bliżej zapoznałem się po pierwszym roku, kiedy ówczesny przewodniczący Komitetu Uczelnianego ZSP, Zbyszek Mossakowski (natenczas student V roku, co mi niesłychanie imponowało), wciągnął mnie trochę do aktywności w ZSP. Jednak poza udziałem w kilku kabaretach, mało bywałem w Medyku, raczej wpadałem tam między zajęciami. Dużo pracy i ściśle nadzorująca proces szkolenia kadra naukowa nie pozostawiała wiele czasu na inne sprawy. A ja dodatkowo pracowałem w Szpitalu Przemienienia Pańskiego, biegałem też do Zakładu Chirurgii Doświadczalnej.

Wreszcie przyszedł III rok i wielka odmiana – kliniki. Dorwaliśmy się do prawdziwej medycyny, pierwszy raz badaliśmy chorych, pisaliśmy historie choroby, było super. A że czasu było więcej, to i do Medyka wpadało się częściej.

W klubie nie czuło się, że w rządzącej partii narastają konflikty na najwyższych szczeblach władzy, a nad Polską (po izraelsko-arabskiej wojnie sześciodniowej w czerwcu 1967) zbierają się chmury antysemityzmu. Z perspektywy Medyka mało znaczące zdawało się wtedy transmitowane przez telewizję wystąpienie Władysława Gomułki, w którym zdefiniował na nowo, kto może być Polakiem i gdzie jest miejsce ludzi pochodzenia żydow-

skiego. A „klasa robotnicza” na „spontanicznych masówkach” krzyczała: Syjoniści do Syjonu!

Kiedy spojrzę te 54 lata wstecz, nie mogę wyjść ze zdziwienia, jak dalece byliśmy indoktrynowani – dla większości z nas ZSRR był oazą wolności, a o istnieniu opozycji mało kto słyszał. Niby coś mama wspominała w domu, ale z żelazną konsekwencją kierując mnie do zawodu lekarza, starała trzymać szczeniaka z daleka od polityki. Sprzyjała jej apolityczność Akademii Medycznej.

Wakacje i pierwsze miesiące nowego, III roku akademickiego, minęły na Akademii Medycznej bez burz. Dopiero około Bożego Narodzenia polityka wtargnęła w nasze akademickie życie, a to za sprawą „Dziadów” w reżyserii Kazimierza Dejmka w Teatrze Narodowym.

Obejrzałem to przedstawienie na stojąco, oszołomiony i spektaklem, i fantastyczną rolą Gustawa Holoubka, i burzliwymi reakcjami publiczności. Codziennie widownia była wypełniona tłumem, brawa i okrzyki coraz głośniejsze. „Dziady”, na których moje pokolenie się wychowywało w szkole, okazały się współczesnym, aktualnym manifestem.

W tej sytuacji władze wydały zakaz wystawiania dramatu Mickiewicza. I to właśnie otworzyło puszkę Pandory. Ostatnie przedstawienie „Dziadów” 30 stycznia 1968 r. zakończyło się demonstracją pod

## 85 LAT DOMU MEDYKA

pomnikiem Mickiewicza i interwencją milicji, dość spokojną, w porównaniu z tym, co wkrótce miało nadejść.

Studenci Uniwersytetu Warszawskiego zaczęli się organizować, protestowały środowiska twórcze. Nasza uczelnia była nieco z boku, ale niemal co dzień mieliśmy zajęcia na terenie UW w gmachach Medycyny Teoretycznej. Widzieliśmy więc, że coś się święci, jednak kontaktu z ówczesnymi grupami opozycyjnymi nie mieliśmy.

4 marca wyrzucono z Uniwersytetu Adama Michnika i Henryka Szlajfera. Na UW się zagotowało. Zbierano podpisy, rozdawano ulotki. 8 marca w piątek na dziedzińcu UW zgromadziło się kilka tysięcy studentów (i drugie tyle agentów SB). Uchwalono rezolucję i gdy wiec miał się ku końcowi, przez otwartą bramę od Krakowskiego Przedmieścia wjechało i zatrzymało się kilka autobusów typu PKS. Na balkon rektoratu wyszedł prorektor UW, prof. Zygmunt Rybicki, ogłaszając nielegalność wiecu. Zażądał rozwiązania go i opuszczenia uczelni.

Niemal natychmiast z autobusów wypadło stado bandziorów, niektórzy z opaskami ORMO (Ochotnicza Rezerwa Milicji Obywatelskiej), niektórzy nieoznakowani (gazety określały ich jako „aktyw robotniczy”). Zaczęli przemawiać wiecującym do rozumu przy pomocy drewnianych i gumowych pałek. Studenci zaczęli uciekać przez bramę, ale tam już czekał ekskluzywny komitet powitalny Milicji Obywatelskiej (później znany jako ZOMO). Zaczęło się polowanie i pałowanie na ulicy.

Tego dnia miałem zajęcia gdzie indziej, ale na terenie UW było sporo kolegów z mojego roku. Szczęśliwie dla nich, stojący na uboczu gmach Medycyny Teoretycznej nie wzbudził wielkiego zainteresowania pałujących – pewnie byli na uniwersytecie pierwszy raz w życiu. Następnego dnia (wtedy wolnych sobót nie było) Medyk stał się głównym punktem informacyjnym; wystraszeni koledzy opowiadali, co się działo na Krakowskim Przedmieściu. W sobotę także na Politechnice studenci zastrajkowali. Wywieszono plakaty, a część studentów wymaszerowała na Nowowiejską, skąd zostali brutalnie zapędzeni z powrotem na teren uczelni. Milicja się tam akurat nie pofatygowała.

W niedzielę napięcie rosło. Kto mógł, słuchał Wolnej Europy, biegaliśmy po znajomych (telefon w domu mało kto miał, a ci co mieli, bali się go używać). No i nadszedł poniedziałek, 11 marca 1968 r., pamiętny dla mnie i tych, którzy jeszcze żyją i nie zapomnieli tego czasu w Akademii Medycznej.

W poniedziałki mieliśmy w planie wykłady na terenie UW. Brama uniwersytetu była zamknięta, obwieszona hasłami, wpuszczano tylko za okazaniem legitymacji studenckiej. Wszędzie grupy dyskutujących ludzi. Gdy weszliśmy do budynku, okazało się, że na sali wykładowej siedzi II rok i nie zamierza wyjść. Atmosfera była gorąca. Zajrzał kierownik Katedry Fizjologii, podówczas doc. dr hab. Andrzej Trzebski, zobaczył zgromadzonych na sali 500 osób, machnął ręką i znikł.

A nastrój robił się coraz bardziej bojowy. Padały propozycje rezolucji, wymarszu w białych fartuchach na Krakowskie Przedmieście (przecież studentów medycyny nie ruszą) i podobne pomysły. Zaczęto atakować słownie władze uczelni. Doc. dr hab. Trzebski wrócił na salę i próbował nas uspokoić i... w tym momencie do gmachu wpadło parę granatów gazowych, wobec czego zabarykadowaliśmy drzwi wejściowe.

Wtedy coś mnie nawiedziło, włączyłem na katedrę, żeby było mnie widać, i wygłosiłem przemowę, perswadując, że rektor nic nam złego nie zrobił i żeby siedzieć na tyłkach, bo nas spacyfikują. Będący w kontakcie z Koszykową (ówczesna siedziba władz AM) dr hab. Trzebski zaproponował, żebyśmy wybrali delegację, która pojedzie do rektora i przedstawi nasze postulaty. Delegację szybko zebrałem na zasadzie: „no to kto pojedzie ze mną?”. Ustaliliśmy, że reszta obecnych proklamuje strajk okupacyjny i nie wyjdzie, póki my nie wrócimy.

Wsiadliśmy do trolejbusu linii 53 (zatrzymywał się w Alei Niepodległości, ok. 100 m od rektoratu) i pojedliśmy z duszą na ramieniu – nie wiedzieliśmy, co nas czeka, nie było jak poinformować rodziców. Krakowskie Przedmieście było jeszcze przejezdne – milicja i ORMO siedziały w pobliskim kinie Kultura (!), pacyfikacja zaczęła się mniej więcej godzinę po naszym wyjściu.

Około godziny 11 dojechaliśmy do rektoratu, gdzie czekała na nas godna reprezentacja władz uczelni: JM Rektor prof. Bolesław Górnicki, dziekan Wydziału Lekarskiego prof. Zdzisław Łapiński, I sekretarz Komitetu Uczelnianego PZPR, doc. dr hab. Zbigniew Bochenek oraz bliżej nieznany (nam przynajmniej) pan. Przed budynkiem stał Zbyszek Mossakowski, pospiesznie wepchnął mi kartkę ze sprawami ZSP do załatwienia, mówiąc: „oni są tacy wystraszeni, że się na wszystko zgodzą”. Nie pamiętam dokładnie, o co chodziło, zdaje mi się, że o przydział miejsc w akademikach.

Zebrane gremium bardzo nas onieśmieliło. Jego Magnificencja prosił siadać i spytał, co się dzieje? Jako samozwańczy przewodniczący delegacji wygłosiłem krótką orację, w której przedłożyłem szanownemu gronu nasz stosunek do tego, co się działo, wtargnięcia milicji na uniwersytet, bicia ludzi, no i oczywiście zdjęcia „Dziadów”. Profesor Górnicki nabrał powietrza, ale nim zdążył coś powiedzieć, dodałem pospiesznie: „Ale poza tym, panie rektorze, mamy bolesne sprawy na uczelni” – i tu z kartki Zbyszka pospiesznie wyłożyłem postulaty. Spodziewające się rewolucji grono profesorskie osłupiało.

Profesor Górnicki, lekko zacinając się, odpowiedział że te sprawy przecież można natychmiast załatwić (i tak się stało), a co do spraw politycznych, to on rozumie nasze wzburzenie, ale co mają do tego władze uczelni? Ja i kolega Bielecki z II roku przedłożyliśmy prośbę o wydanie wspólnej rezolucji władz uczelni i studentów potępiającej wydarzenia ostatnich dni, zwracając uwagę, że na Krakowskim Przedmieściu czeka na nasz powrót 500 studentów w rewolucyjnym nastroju. Grono wymieniło spojrzenia, wyrażające co najmniej potrzebę wezwania psychiatrów na konsultację, po czym rozpoczęły się negocjacje. Nie pamiętam już szczegółów, ale konkluzje osiągniętego (i podpisanego!) porozumienia były mniej więcej takie:

1. Władze uczelni rozumieją protest studentów, aprobują przedstawione sprawy socjalne;
2. Władze uczelni wydają zgodę na zorganizowanie trzech wieców informacyjnych w Medyku w kolejnych dniach;

3. Władze uczelni zapewniają bezpieczeństwo członkom delegacji;
4. Studenci zobowiązują się do niezwłocznego opuszczenia uczelni, powrotu do zajęć i nieorganizowania innych, niż dozwolone przez rektora zgromadzeń.

Co do wspólnej deklaracji, to delikatnie nam oświadczone, że władze rozważają sprawę, ale po uspokojeniu sytuacji. To co nas uderzyło, to było spokojne, pełne troski zachowanie się JM Rektora, któremu wyraźnie zależało na naszym bezpieczeństwie.

Po zakończeniu rozmów tajemniczy pan uczestniczący w spotkaniu zapakował nas do nysy (taki ówczesny bus) i machając jakąś legitymacją przewiózł nas przez kordony milicji na uniwersytet. Tam przekazaliśmy kolegom ustalenia, a nasz „opiekun” zorganizował ewakuację bocznym wyjściem z uniwersytetu (na ul. Oboźną). Pilnowaliśmy, aby nie wychodziło nas na raz więcej niż 5 osób. Nikt z nas w tym dniu nie został zatrzymany.

Następnego dnia, we wtorek, zajęcia odbywały się chyba normalnie, ale po południu w Medyku w Sali Balowej zgromadziło się co najmniej pół uczelni. Atmosfera była gorąca, przemówienia rewolucyjne, przewodniczącego ZMS wygwizdano. Milicji ani SB nie było widać. Wiecowaliśmy chyba do północy, o dziwo bez alkoholu i większych awantur. Nie pamiętam już, czy był ktoś z władz uczelni, ale widzieliśmy wielu asystentów i adiunktów. Uchwalono rezolucję potępiającą milicję, PZPR i Bóg wie, kogo jeszcze.

Na kontrakcję władzy nie trzeba było długo czekać. Już następnego dnia trzy osoby z naszej delegacji znikły. Wychoząc z porannych zajęć na internie, zaszedłem do Medyka i przed wejściem zobaczyłem spory tłumek, który na mój widok nieco się rozstąpił, wskazując mi prostą ścieżkę do gabloty ogłoszeń ZMS. Widniała tam odezwa, podpisana przez zarząd Komitetu Uczelnianego. Pod wielkim tytułem: „Oto ci, którzy uzurpują sobie prawo do przemawiania w waszym imieniu!” widniała prawie kompletna lista poniedziałkowej delegacji z krótką charakterystyką każdego z nas (dziewczyn w delegacji nie było). Na trzecim miejscu figurowałem ja z adnotacją: parszywy Żyd Marcin Rawicz, ojciec – stary wywroto-wiec, matka – redaktor „Kobiety i Życia”.

Bardziej niż strach ogarnęła mnie furia. Pognałem z wraskiem do KU ZMS, gdzie siedział ponury przewodniczący; rzuciłem w niego legitymacją, żądając natychmiastowego zdjęcia tej inskrypcji. Usłyszałem smętną odpowiedź: „to twoje prawo”, po czym wskazał mi drzwi.

Wkrótce po tym zaczął się drugi wiec, ale nie trwał długo, strach zaczął nam zaglądać w oczy, nie było bardzo już zresztą o czym wiecować.

Po powrocie do domu zastałem ojca, który pospiesznie wrócił z urlopu. Wyслуchał relacji, spokojnie, ale stanowczo zabronił mi dalszego uczestniczenia w wydarzeniach, argumentując prosto i dobitnie: „z faszystami nie walczy się z otwartą przyłbicą”. Mój ojciec miał, niesłusznie, jak to wtedy się mówiło, pochodzenie, przed wojną nazywał się Rabinowicz, był więźniem Auschwitz, sekretarzem Międzynarodowego Komitetu Oświęcimskiego, pisarzem i tłumaczem. Zajmował się głównie historią międzywojenną. Kiedyś, w wywiadzie radiowym zdefiniował faszyzm jako zjawisko doprowadzające przeciętnych mieszczan, przeciętnych zjadaczy chleba do tego, że potrafią widzieć wszystko oddzielnie. Nieludzkie zbrodnie i ludzkie radości; że zatracają poczucie zła, ogarnięci tym, co Anglicy nazywają „moral insanity” i pod wpływem zatrutej ideologii przetwarzają się w automaty, posłuszne impulsowi z zewnątrz.

Przez następne kilka dni nocowałem u swojej dziewczyny. Ponieważ nikt mojej mamy nie odwiedził, wróciłem do domu i na uczelnię. W tym czasie już masowo zwalniano z różnych uczelni zaangażowanych w protesty studentów. Na AM nic takiego nie miało miejsca, zajęcia odbywały się normalnie. Chyba 20 marca o 2 w nocy obudził nas w domu dzwonek do drzwi; zamiast milicji pojawił się listonosz z telegramem, wzywającym mnie do rektoratu na 7 rano. Pożegnałem się już w myślach ze studiami i w wisielczym nastroju pojechałem na Koszykową.

Pod gabinetem JM stała większość delegacji (z wyjątkiem tych aresztowanych). Po chwili wyszedł stamtąd jeden z kolegów, wypowiadając w kierunku zamkniętych drzwi słowa wielce obelżywe. Nie zdążyłem spytać, o co chodzi, bo wezwano mnie do środka.

Za biurkiem siedział zmęczony rektor Górnicki; zadał mi kilka pytań, po czym wstał, wręczył mi naganę z ostrzeżeniem i radził się zająć studiami, bo „kkkoledze jakoś słabo to idzie”. Nie dał nic powiedzieć, kazał się wynosić. Oczywiście wyszedłem, klnąc. Podobnie potraktowano nas wszystkich...

Na tym praktycznie wydarzenia marcowe na AM się zakończyły, nie licząc późniejszej próby zwerbowania mnie przez SB oraz rekomendacji Komitetu Uczelnianego PZPR do 2-letniej służby wojskowej po ukończeniu studiów, obie szczęśliwie zakończone niepowodzeniem. Nikt z nas nie został relegowany z uczelni, aresztowani koledzy dostali urlopy dziekańskie.

Zagadką jednak dla mnie była ta nagana. Wyjaśniła mi ją kilka lat później osoba znająca kulisy tej historii. Otóż Magnificencja dowiedział się, że na uczelnie przychodzą listy proskrypcyjne, na których SB umieszczała nazwiska studentów przewidzianych do relegacji. Profesor przyjechał do rektoratu późnym wieczorem, wysłał do nas telegramy i własnoręcznie przygotował nagany. Ostatni z nas opuścił rektorat przed 8 rano; o godzinie 9 zjawił się „ktoś” z listą. Rektor listę przyjął, po czym odpowiedział, że studenci zostali już ukarani, a dwa razy karać nie będzie. Do końca studiów nic już na ten temat nie usłyszeliśmy. Może to teraz brzmi banalnie, ale w tym czasie niewielu rektorów stać było na taką odwagę.

Po latach, kiedy broniłem pracy doktor-skiej w Instytucie Matki i Dziecka, gdzie prof. Górnicki był przewodniczącym Rady Naukowej, po wygłoszeniu stosownych formułek, zwróciłem się do niego ze ściśniętym gardłem: „A panu rektorowi dziękuję, za to że pozwolił mi pan zostać lekarzem”.

Starszy pan był zaskoczony, ale uśmiechnął się i powiedział: „bbbardzo mi miło, że kolega to jeszcze pamięta...”.

Medyk był świadkiem ważnych w moim życiu zdarzeń. Tam się spotykałem z moją pierwszą dziewczyną, tam się umawiałem z moją żoną, tam piłem paskudne piwo i planowałem podbój świata. Dzięki wam wszystkim, którzy tworzyliście to miejsce i dzięki za to, że wciąż trwa. ■

*Dr n. med. Marcin Rawicz*

*Oddział Anestezjologii Warszawskiego Szpitala dla Dzieci*